

Rys. St. Wyspiański.

POLONIA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY

ROK I.

ZESZYT 2.

We Lwowie 25. stycznia 1901.

ARNOLD BÖCKLIN.

Wspomnienie pośmiertne.

Tak niezwykłe wrażenie wywierała na umysły nasze postać A. Böcklina, że do pewnego stopnia słusznie można mówić o „problemie“ böcklinowskim. Przez czas pewien był ten artysta samotnym, nie rozumiano go wcale. Stopniowo poczęli go rozumieć ci, którzy mogli podziwiać dzieła jego w berlińskiej galeryi Schacka. Wreszcie „Tryton“ wywołał nawet podziw. Lecz zaledwie przyzwyczajono się do tych obrazów, powstała nowa trudność — Böcklin postąpił znów naprzód. Nawet Schack, wielbiciel i przyjaciel artysty, utrzymywał, jakoby Böcklin w „Polach elizejskich“ (Gefilde der Seligen) posunął się za daleko. Tymczasem śmielsze jeszcze porywy następne zmieniły owe „Pola“ w obraz stosunkowo bardzo umiarkowany. Wszystkich, którzy pozostali w pogoni za myślą artysty w tyle, zmusił mistrz ten swymi ogromnymi postępami do szybszego podążania za nim. Mimo to niemożna go było doścignąć, bo gdyś się przebił przez gąszcze, właśnie przebyte przezeń, on już znikał w innej gęstwinie — więc uważać się go chciało straconym, podczas gdy to tyś tylko tracił go z oczu. A jednak, jeśliś raz rozpoczął pogoń za Böcklinem, nie mogłeś ustać; mimo zmęczenia porywał cię za sobą, a choć przestrzeń, dzieląca was obu, rosła ciągle, ostatecznie zawsze otwierały się przed twym wzrokiem pola nowe.

Jak każdy geniusz, tak i wielki Szwajcar miał w sobie coś z legendowego króla Wacława. Ów król poczciwy udzielał pomocy tym, którzy zabłądzili w lesie. Mianowicie wyprzedzając ich, wydeptywał w śniegu ślady,

którymi małe dzieci wydostawały się na drogę. Ta tylko różnica zachodzi tutaj, że Böcklin właściwie niewiele troszczył się o nas — „małe dzieci". Zajmywa się tylko sobą, tylko swą pracą. Hrabia Schack opowiada, jak raz wszedł do pracowni Böcklina i zastał go tak zatopionym w malowaniu krajobrazu, że nie słyszał nawet kroków gościa. Pracował od wczesnego ranka nad obrazem, a cała scena tak żywo stała mu przed oczyma duszy, iż niejako znajdował się wśród sceneryi obrazu, a nie w pracowni. Taki artysta nie myśli o publiczności. Przed swem dziełem stoi, zapuściwszy badawczo wzrok w swą duszę, stoi przed niem tak, jak Böcklin siebie namalował na podobiźnie własnej, gdzie śmierć, stojąca za nim, pokazuje mu życie, wirujące przed nim. Ale i weselszym można sobie wyobrazić mistrza bazylejskiego, ot n. p. takim, jakim przedstawił swego słynnego „Awanturnika". Na tym obrazie widzimy męszczyznę w pełni sił, w zbroicy śpiżowej, na nieznanem wybrzeżu; poza nim w uroczem oświetleniu ciągnie się morze, które go zwabiło ku sobie; przed nim cuda nad cudami, ku którym spoziera, przysłaniając sobie oczy dla tem lepszego zobaczenia onych dziwów; dokoła niego kości i kościotrupy. Takim też można sobie wyobrazić Böcklina w posusze dni naszych: przybywającym od strony czasów minionych, a zwracającym wzrok w oddale niezdobyte. Przeocza świat dzisiejszy; skarb klasycyzmu i spadek poromantyczny objął w posiadanie, a nawet zarodki sztuki nowej. Zdobył sobie wszystko, chwytając je żylastą, przyzwyczajoną do zdobyczy dłonią i przekształcając na modłę swej istoty. „Dzieci" doszły do niego wreszcie i poprzez prometeusowe obrazy jego wieku dojrzałego towarzyszyły mu odtąd aż do dzieł jego starości. Tysiące wielbią go dzisiaj — stał się im mistrzem, wzorem, hasłem. Symboliści odkryli w nim towarzysza swego. Koloryści pełni są podziwu dla niego. Naturaliści zarzucają mu brak przeźrocza powietrznego, ale wielbią bezgranicznie jego pamięć kształtów i barw. Tym sposobem Böcklin przedstawia najtęższy geniusz w koncercie idealistów europejskich za dni naszych, choć mniej od innych oszlifowany; ale czy w innych warunkach byłby też najtęższym? W marzących oczach jego spostrzegasz coś, co przypomina dziwaczne twory wyobraźni starożytnej; jakoż rzeczywiście nie jest to modernista, lecz raczej w jego północnej naturze odżyła sztuka klasyczna i romantyczna. Jest to Faust-szczęśliwiec, który zdołał wywieść Helenę z podziemi na jaśnię, jest to Niemiec o skłonnościach, przechylających się ku klasycyzmowi.

(D. n.)

OSTEN JAN: 2)

MATURA.

Zapukali i weszli, usłyszawszy donośne „Proszę wejść!"

Podniósł głowę, pochyloną nad książką, tę piękną, poważną głowę i zwrócił surowe, bystre oczy na nich.

„Czego sobie życzycie?"

— „Proszę pana profesora, my przyszliśmy — to jest chcieliśmy prosić..." wyjąknął Neumann. Ale nagle spojrzał na profesora Mirowskiego, przypomniał sobie jego przyjacielskie obchodzenie się z nim, ilekroć był u niego w mieszkaniu, jego ostatni dowcip, wypowiedziany przy wyliczaniu pewnego integrału eulerowskiego, i odrazu pozbył się nieśmiałości zupełnie.

— „Panie profesorze", mówił płynnie, spoglądając nań z ufnością łagodnemi, siwemi oczyma, „zaczyna się dla nas teraz czas ciężki, przygotowanie się do matury. Cały czas wolny pochłonie nam obecnie powtarzanie, przyszliśmy tedy prosić, ażeby się pan profesor wstawił za nami u pana profesora Kowarza, ponieważ zadaje nam teraz na pamięć długie niemieckie wiersze, n. p. takiego Schillera".

Profesor Mirowski zachmurzył się, a twarz jego przybrała wyraz surowy.

„Pan profesor Kowarz trzyma się bezwątpienia przepisów szkolnych i nie przeciąża was bez potrzeby. A czyżby nauczenie się takiego wiersza kosztowało was tyle trudu?" zapytał łagodniej.

— „Ach!" machnął ręką Neumann, a drudzy przywtórowali mu śpiesznie. „Kto ma pamięć słabszą, uczy się go choć ze cztery wieczory. A czego się nauczy jednego dnia, to zapomni na drugi i musi zaczynać na nowo.

To nie formułka matematyczna taki wiersz, tamtę człowiek zapamięta do śmierci, ponieważ potrafi wyprowadzić ją sobie, ale taki wiersz trzeba umieć słowo w słowo".

Profesor uśmiechnął się nieznacznie na to porównanie.

„Dobrze", rzekł po chwili, „poproszę pana profesora Kowarza, ażeby wam opuścił coś z tych wierszy, rozumie się tyle, ile można. W każdym razie będziecie musieli to uważać za łaskę ze strony jego, a nie za ustępstwo. A teraz wracajcie do klasy!"

Kiwnął głową lekko, młodzieńcy ukłonili się i wyszli.

Powrót ich wywołał w klasie radość ogromną.

„Schiller padł! Schiller padł!" Waniek, który uczył się właśnie początku wiersza „Der Ring des Polykrates", poprostu cisnął „Wypisami" Pospichala pod ławę.

Fala radości porwała wszystkich za sobą. Wrzawa nie ustała, dopóki nie wszedł do klasy profesor historyi, Brand, który właśnie miał godzinę.

Schiller padł! Ale niezupełnie. Profesor Kowarz ogłosił na początku godziny następnej, „że po rozmowie z panem gospodarzem klasy postanowił przyznać uczniom pewne ulgi w niemieckim, mianowicie ze względu na zbliżający się egzamin dojrzałości". Wiersze będą czytali w całości, jak przedtem, ale uczniowie nie muszą uczyć się ich w całości na pamięć, tylko ustępów poszczególnych. „Walkę ze smokiem" podzieli się n. p. na 5 części, a „Der Ring des Polykrates" na cztery.

Bądź jak bądź była to ulga.

Sowikowi uczenie się jakiegoś ułamka poematu, wyjętego choćby ze środka, wydało się strasznie nierozumnem. Co za korzyść z tego w życiu? To mógł im już darować zupełnie. Ale gdzieżby Kowarz!... U niego ten, kto nie znał balad Schillera, nie był prawdziwym człowiekiem. Opowiadał zdarzenie ze swego życia, jak to w swej młodości, gdy był uczniem piątej klasy gimnazyalnej, przyszedł w odwiedziny do stryja, który był tam czemś w okolicy niemieckiej. Urządzono tam jakąś „akademię" i wezwano jego także do współudziału, mianowicie ażeby coś zadeklamował, jakiś wiersz, jakikolwiek, ot n. p. Schillera, Goethego, Freiligrata, Uhlanda, słowem cokolwiek. A on nie umiał ani jednego, bo uczono się tego dopiero w wyższych klasach. Myślał — jak sam mówił — że spali się ze wstydu. I stryj wtedy rumienił się z powodu niego.

„Otóż widzicie, taki wstyd mógłby i was spotkać!" powtarzał ciągle Czyżkowi, który zdobywał się zawsze li na napis wiersza i nazwisko autora, a i przytem stale mawiał: „Franz Schiller". Padał tu ofiarą sugestyi, ponieważ przy ulicy, którą chadzał do domu po szkole, mieszkał kupiec, a tego firma opiewała „Franz Schiller". Czyżek czytał codziennie to imię i nazwisko, widział je też przed oczyma, ilekroć usłyszał wiersz niemiecki. Zapewniało mu to stale notę pewną na świadectwie, ale to go wcale nie smuciło. Wiedział, że po maturze wróci na grunt, i postanowił sobie, że nigdy w życiu swem nie będzie deklamował wierszy niemieckich, „ażeby go nie mógł taki wstyd spotkać".

W każdym razie wielka część przeciążenia ubyła.

„Gdyby jeszcze niebyło tych lekcyi!" myślał sobie Sowik, biegając ze szkoły na lekcye, a z lekcyi do domu. Ach, te lekcye przeklęte! Miał trzy codzień. Utrzymywał się z nich już od trzeciej klasy. Ojciec — gdzieżby ten mógł! Bo i co to za majątek? Parę zagonów pola, a na nich w dodatku długi. Zresztą prócz niego jest jeszcze Wacław i Marynia. Oboje zaś młodsi od niego. Toż raczejby on powinien im pomagać.

Więc też pracował. Wracał zmęczonym, przygnębionym z lekcyi, przeszedł się gdzie pół godziny i znów brał się do książek.

Dawniej szło mu to jakoś, o dziesiątej lub jedenastej uporał się zawsze z robotą, przygotował na dzień następny, ale ta matura! Od niej kręciło mu się w głowie. I bolała go też głowa, tak często bolała! Teraz prawie codziennie. Od czego zacząć, jak zacząć?

Przed nim leżała historya, wszystkie trzy okresy: starożytność, średniowiecze, czasy nowożytne. Z lekcyi na lekcyę nauka szła gładko, przeczytał ją sobie dwa, trzy razy, zamknął książkę, wyrecytował rzecz półgłosem i umiał swoje.

Ale pamiętać całą tę masę, te setki stron, jakże to można!

Wszak to musi człowiekowi mieszać się w głowie piąte przez dziesiąte. Bitwa pod Termopylami, na Kosowem polu, spory cesarzy niemieckich z Rzymem, wojna trzydziestoletnia, rewolucya francuzka, wyprawy napoleońskie... Tego wszystkiego jeden człowiek nie zdoła spamiętać; Wszystkich tych na-

zwisk, tych dat wszystkich. To wprost niepodobieństwo.

Ale na szczęście mają profesora Branda. Ten przyrzekł, że wkrótce skończy materyał, przepisany na rok bieżący, i potem z nimi powtórzy wszystko. A zresztą był to złoty człowiek i nikt nie pamiętał, żeby spalił kogo przy egzaminie dojrzałości.

Fizyka! — oho, fizyka to także materyał nielada! Taka optyka — a akustyka! W dodatku prof. Bergmann dziwak. Ale on, Sowik, zawsze miał u niego szczęście: chwalebnie, celująco nawet — a nawet nie uczył się bardzo. Ot, Bergmann go lubił. Toteż puści go z pewnością.

Matematykę umie, bo ją niemal każdy musi u nich umieć. Profeser Mirowski uczy jej wybornie, nie szczędzi pracy, a surowym jest tak, że niepodobna jej nie umieć. To nie taki profesor, który pyta tylko z lekcyi. Pyta ciebie n. p. z analityki. Idzie ci dobrze — naraz utknąłeś na jakiejś formułce trygonometrycznej. „Proszę mi wyprowadzić tę formułkę!“ odezwie się p. Mirowski i stanie opodal, założywszy ręce na piersiach. I już ci gorąco. Mieszasz *sinus* z *cosinusem*, nie wiesz, w której ćwiartce która funkcya jest dodatnią, a która ujemną, a w końcu pokazuje się, że ci się pomieszało wszystko. Pąsowiejesz i zrozpaczony spoglądasz na tablicę. Ale prof. Mirowski nie traci równowagi. Powie ci tylko: „I z takiemi wiadomościami chcesz, mój kochany, siadać do matury?“ i rzuci na ciebie spojrzenie, napół druzgocące, napół litosne, od którego coś cię aż zakłuje w sercu. Potem weźmie ci z rąk cyrkiel i linię, wykreśli znane koło, podzieli je na cztery części i swoim zwyczajem — spokojnie, jasno, a treściwie — wyłoży ci podstawowe pojęcia z trygonometryi. „Wszakże to tak jasna rzecz, tak jasna!“ myślisz sobie, patrząc na niego. „Jak mogłem to zapomnieć! Toż to rzeczy tak proste, każdy sztubak je zrozumie“. Dostałeś dwójkę, ale nie gniewasz się wcale. Nie. Zasłużyłeś na nią, tak jest — zasłużył. Za coś podobnego należy się dwójka. A gdy wrócisz do domu, weźmiesz trygonometryę do ręki, przesiedzisz nad nią do północy i powtórzysz sobie wszystko. O, bo trzeba znać prof. Mirowskiego. Wywoła cię następnej lekcyi i zapyta znów o to, czegoś nie umiał poprzednio. No, a ty to umiesz teraz! Łaskawem i przyjaznem obrzuci cię spojrzeniem, które przedtem było poważnem i surowem. I błogie uczucie przejmuje twe serce, wiesz, że on zadowolony z ciebie, że ci przebaczył i jest znowu twym przyjacielem. I pragnąłbyś nieustannie składać mu dowody swej poprawy.

Nie, matematyki nie musi się obawiać. Uczył się jej zawsze z zamiłowaniem. Szczególnie analityki. Co to za piękna nauka! Rozumowa, pozytywna... a zajmująca, zwłaszcza w wykładzie prof. Mirowskiego!

Gorsza już wykreślna! To był dla Sowika krzyż prawdziwy. Nie był bez sprytu, umiał myśleć logicznie, na pamięć, „w przestrzeni“ — jak to mówią - rozwiązał prawie każde zadanie, ale wykreślić je — to był dla niego twardy orzech do zgryzienia. Tracił wątek w gmatwaninie cienkich kresek, łączył linie błędnie, dochodził do fałszywych punktów, wiedział, że coś jest złego, ale nie umiał wyszukać jego źródła. A przecie wielu twierdziło, że rozwiązywanie zagadnień w przestrzeni jest o wiele cięższem, a wykreślenie to już tylko praca mechaniczna. Tymczasem on właśnie na niej utykał. I nie zdołał uwolnić się od tej wady. Był poprostu słabym w wykreślnej, zawsze doprowadzał zaledwie do noty dostatecznej. Profesor Mirowski przepowiadał mu, że będzie chyba musiał składać egzamin ustny z wykreślnej przed komisyą maturalną, podczas gdy zwykle poprzestawano na pisemnym. To mogło Sowika dobić.

Często już widział tę scenę całą: Sala egzaminacyjna, stół z zielonem suknem, czarne ubrania, twarze poważne. Profesor Mirowski zadaje mu pytanie, Sowik rozwiązuje zagadnienie dobrze — w przestrzeni. „Proszę mi to wykreślić!“

Cyrkiel i długa linia drżą mu w ręku, wykreśla oś x—y, dane warunki, prowadzi płaszczyzny o pewnem pochyleniu, szuka przecięć, ale linie spływają mu razem, traci głowę, wreszcie cień najniestosowniej pada mu między źródło światła i ciało dane. O zgrozo! — Prof. Mirowski poważnieje, ale milczy jak grób, inspektor — wyborny znawca wykreślnej — rozwarł szeroko oczy ze zdziwienia, a nawet prof. Brand, przydzielony do komisyi, choć nie ma nawet pojęcia o wykreślnej, zrozumiał, że tu zaszedł jakiś ogromny błąd, przestaje się uśmiechać przyjaźnie i spogląda na biedną ofiarę ze współczuciem nietajonem na zdrowej, szczerej twarzy.

(C. d. n.)

Sz. J.

PO STU LATACH.

W rocznicę założenia Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie.

(Dokończenie).



Gmach Towarzystwa.

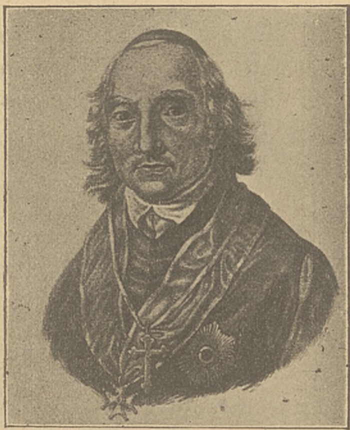
Po bitwie pod Jeną (14. paźdź. 1806.) z tej części Polski, którą przyłączono niegdyś do Prus, Napoleon utworzył Księstwo Warszawskie i dał mu, po myśli Sejmu czteroletniego, elektora saskiego za księcia. Ta zmiana w losach Polski, którą u nas uważano za początek odbudowania Ojczyzny w granicach z r. 1772., nie pozostała bez wpływu na losy Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie — naprzód dlatego, że książę zatwierdził je, nadał mu tytuł królewskiego i tem samem otoczył je nową powagą, powtóre dlatego, że, uwolnione od opieki pruskiej, mogło robić i mówić, co chciało, nie krępując się żadnymi względami. Prawie równocześnie z tem zatwierdzeniem zeszła się śmierć prezesa Albertrandiego; jego stanowisko zajął Staszic, który swą niezłomną wolą i światłym umysłem stworzył świetne dla Towarzystwa czasy. Za Królestwa Kongresowego od r. 1815. działalność Towarzystwa trwała dalej.



ST. SOŁTYK.

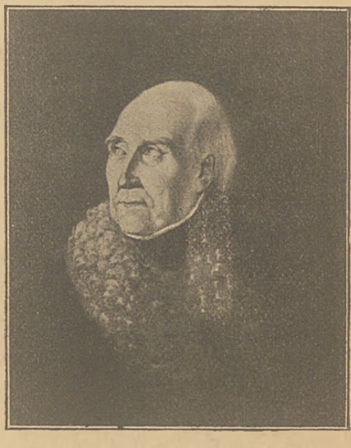
Przez lat 30 Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie było ogniskiem ruchu umysłowego i położyło niemałe zasługi około rozbudzenia umysłów polskich. Pamiątką po niem, gdy je rozwiązano po wojnie narodowej w r. 1831., pozostały Roczniki (tomów 21), niejedna zacna i naukowa myśl, w Towarzystwie poruszona, a później w czyn zmieniona, i umysły, podniecone do działania.

Głównem zadaniem i powołaniem Towarzystwa była nauka: na tem też polu zdziałało wiele. Któż kładł podwaliny pod znajomość prawa polskiego i jego dziejów? Kto pierwszy pracował umiejętnie nad dziejami piśmiennictwa polskiego? Kto przeprowadzał pierwsze badania słowiańskich początków Polski? Komu zawdzięczamy rozwój nauk przyrodniczych i filozoficznych? Takich pytań możnaby sobie zadać jeszcze wiele i na wszystkie byłaby jedna odpowiedź: Towarzystwo lub Towarzystwu przyjaciół nauk w Warszawie:



J. ALBERTRANDI.

Rzeczywiście członkowie Towarzystwa, pracując pod jego opieką i przy jego pomocy, zaszczepili nowe gałęzi nauk lub w istniejące tchnęli nowe życie. T. Czacki i Jan Wincenty Bandtkie zajmowali się prawem polskiem i jego dziejami; Linde i Kopczyński poświęcili się umiejętnemu badaniu języka: pierwszego „Słownik języka polskiego“ zaczął wychodzić pod opieką Towarzystwa (1807—1814), drugiego „Gramatyka języka polskiego“ jest pierwszym doniosłym krokiem na tem polu; Jerzy Maksymilian Ossoliński, Feliks Bętkowski, po nich K. Brodziński — pierwsi torowali drogę umiejętnej historyi literatury polskiej. Nauki przyrodnicze pchnęli naprzód bracia Śniadeccy: Jan i Jędrzej, a filozofia, która od XVI. w. leżała u nas odłogiem, teraz poczyna się rozwijać i rozwija się ciągle — dzięki pracom Jana Śniadeckiego, Józefa Kalasantego Szaniawskiego i Józefa Gołuchowskiego, wydanym



ST. STASZIC.



J. U. NIEMCEWICZ.

przez Towarzystwo.

Największe może zasługi położyło Towarzystwo około polskiej historyografii przez wydanie licznych rozpraw, monografii historycznych i dokumentów źródłowych. Ono także podjęło zamiar uzupełnienia „Historyi narodu polskiego“ Naruszewicza, lecz niestety wykonało go tylko w małej części. Członkowie Towarzystwa rozebrali między siebie pewne epoki i panowania, chcieli je opracować i z tych opracowań złożyć całkowity obraz dziejów polskich. Dzieje pierwszych Jagiellonów przypadły w udziele ks. Adamowi Czartoryskiemu, panowanie Zygmunta Starego J. M. Ossolińskiemu, Zygmunt August ks. Czartoryskiemu, jenerałowi ziem podolskich, czasy Henryka Walezyusza i Stefana Batorego miał opracować J. F. Tarnowski, Zygmunta III. Niemcewicz, Władysława IV. Kwiatkowski, Jana Kazimierza ks. Krajewski, Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana III. Sobieskiego Stanisław Potocki, Augusta II. i III. i Stanisława Augusta ks. Prażmowski, biskup płocki, czasy porozbiorowe nareszcie Kalasanty Szaniawski. Że dzieło historyczne, stworzone taką pracą zbiorową, byłoby niejednolite, o tem mówić zbyteczna; w każdym jednak razie znajomosć naszych dziejów byłaby ogromnie naprzód postąpiła. Niestety — tylko trzej autorowie dotrzymali słowa: Niemcewicz, Kwiatkowski i ks. Krajewski.



S. B. LINDE.

Towarzystwo przyjaciół nauk nie spuszczało też z oka poezyi naszej i dążyło do rozwinięcia u nas tych form poetycznych, które były w innych piśmiennictwach, a których brak naszej dawał się najbardziej uczuwać. Wprawdzie poezya ta trzymała się upornie poglądów estetycznych francuzkich, wprawdzie poeci tworzyli według przepisów francuzkich, wcale się nie licząc z romantyzmem, który już wciskał się do kraju, mimo to nie są bez zasługi. Dramat naprzykład podniósł się dzięki Wężykowi i Felińskiemu, pojawiły się „Śpiewy historyczne“ Niemcewicza, o których — choćby się je dziś osądziło surowo — to trzeba powiedzieć, że przez czas długi w dworkach szlacheckich szerzyły jaką taką znajomość dziejów naszych i zaszczepiały patryotyzm. Żeby tę służbę mogły spełnić, o to postarało się Towarzystwo, wydając je z rycinami i nutami, a Staszic na publicznem posiedzeniu wyraził radość, że odtąd wszystkie matki będą mogły nad kołyską dzieci śpiewać o cnotach i sławie Polaków, przez co rozkrzewi się duch rycerski i polski w polskich niemowlętach.

Co jest rzeczą bardzo ważną i ciekawą zarazem, — to to, że warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk nie zasklepiało się w samej teoryi naukowej, lecz od swego początku aż do rozwiązania służyło praktycznym potrzebom naszego życia, wydawało książki dla ludu, rozszerzało wiadomości o wynalazkach, ulepszeniach w rolnictwie, rękodzielnictwie, przemyśle i zwracało baczną uwagę na stosunki zdrowotne i handlowe. Myślało też o najlepszym i najtańszym sposobie stawiania wygodnych i zdrowych mieszkań wiejskich, prowadziło korespondencyę z garbarzami, tkaczami, sukiennikami po małych miastach, objaśniajac im najnowsze sposoby wyprawiania skór i farbowania wełny, troszczyło się o hodowanie pszczół, badało przyczyny zarazy u bydła i obmyślało środki zaradcze, zajmowało się żupami solnemi, kopalniami żelaza i sposobami ich podniesienia — słowem robiło to, co teraz robią różne towarzystwa, zawiązane w celach poszczególnych.

W tem powiązaniu teoryi naukowej z potrzebami życia codziennego godzi się widzieć i rozum i mądrą na przyszłość wskazówkę. Widocznie już wtedy zdawali sobie ludzie sprawę z tego, co nas odrodzić może; już wtedy rozumieli, że pielęgnowanie języka, uprawianie literatury, nauk i



TADEUSZ CZACKI

sztuk, podnoszenie się pod względem ekonomicznym, gospodarczym, handlowym, przemysłowym, gromadzenie bogactwa krajowego, praca nad ludem — to są drogi pewne, które powiodą naród ku wszechstronnemu odrodzeniu, poprowadzą go do znaczenia w świecie, a kiedyś i do bytu samodzielnego.

A gdziś Polak - patryota czy ma co lepszego do robienia dla przyszłości swej Ojczyzny? Pomyślcie, a prawdopodobnie dojdziecie do przekonania, że naszym najpilniejszym obowiązkiem na te czasy — to praca nad wszechstronnym naszym rozwojem, to dążenie do tego, abyśmy pod każdym względem — duchowym i materyalnym — jeśli nie zrównali się z narodami, więcej oświeconymi i bogatymi, to przynajmniej gdzieś blizko nich zajęli miejsce. Bo tylko wtedy ideał, który każdy z nas nosi w duszy i w pragnieniach swoich, zdoła się ucieleśnić i przywdziać kształty rzeczywistości!

Błażek B.:

SERCE.

Tyle się w życiu mówi o sercu! Wyobraźnia ludzka umieściła w niem przybytek tylu wad i tylu zalet człowieka, iż wydaje się równoznacznem z pojęciem dobra i zła. „Człowiek bez serca“ — to wyrażenie najdosadniejszego potępienia, a frazeologia zna małe serca czułe, miękkie i t. d. Już dziecko, zanim rozpocznie dobrze mówić, zna ten wyraz, chociaż przywiązuje do niego tylko wyobrażenie... piernika. I nie bez przyczyny człowiek umieszcza wszystko, co ma najdroższego, w tym narządzie (organie), bo serce jest dla ustroju tem, czem dla machiny parowej palenisko: bez paleniska byłaby ona tylko zbiorem kół, kółek, przenośni (transmisyi) i t. p., pozbawionych gwaru i życia.

Lecz zostawmy chwilowo na boku to, co poeci mówią o sercu, a zastanówmy się pokrótce nad właściwym jego wyglądem i znaczeniem dla ustroju żyjącego!

Serce jest to niewielki worek mięsny o ścianach grubych i sprężystych, umieszczony w klatce piersiowej pomiędzy obu płatami płuc. Całość podzielona jest przegrodą na dwie połowy, prawą i lewą; pierwsza przeznaczona jest dla krwi żylnej. t. j. tej, która wraca do swego punktu wyjścia, wypełniwszy swe odżywcze zadanie w ustroju, a druga dla krwi tętniczej, t. j. tej, która, pełna znowu odżywczych własności, wybiera się w daleką podróż po najodleglejszych zakątkach ustroju, przynosząc z sobą ciepło i życie. Prócz tego każda połowa dzieli się jeszcze na dwie części: przedsionek i komorę. Te posiadają zupełnie samodzielne umięśnienie, tak iż możliwym jest oddzielny skurcz komór i przedsionka.

U wszystkich kręgowców i u ptaków serce jest tak zbudowane, jak u człowieka. Natomiast serce ryb odpowiada prawej, żylnej połowie człowieczego, brak im zaś jego lewej połowy. Wskutek tego krew tętnicza nie dochodzi do serca rybiego, które zawsze wypełnia tylko krew żylna, lecz odrazu udaje się w obieg po ustroju.

Już u ptaków serce przedstawia narząd, bardziej skomplikowany. Tu przedsionek dzieli cienka błona na dwie *nierówne* części, z których lewa jest znacznie mniejszą i odbiera krew z płuc, prawa zaś, znacznie większa, otrzymuje krew z reszty żył. U bezkręgowych serce przedstawia narząd, najmniej skomplikowany, gdyż często jest to tylko rurą, opatrzoną klapami.

Czynność serca polega na jego kurczeniu się, które w codziennem życiu nazywamy biciem serca. Ruch ten odbywają naprzemian przedsionki i komory. Podczas skurczu obu przedsionków komory spoczywają i naodwrót. Skurcz komór następuje *bezpośrednio* po skurczu przedsionków, poczem następuje *krótka przerwa*, poprzedzająca nowy skurcz komór i tak ciągle.

Czynność serca polega zatem na wtłaczaniu zawartości krwi w komorach do wielkich naczyń krwionośnych podczas skurczu; podczas zaś rozkurczu komory, a skurczu przedsionka — krew przedsionkowa napełnia znowu komorę, ażeby za chwilę rozpocząć swą pracę obiegu po ustroju.

Te ruchy serca dają znać o sobie pewnymi dźwiękami, które można słyszeć przez przyłożenie ucha do piersi, lub zapomocą odpowiedniej słuchawki. Są dwa, różnej wysokości, a następują po sobie szybko. Można je także wyczuć, gdy się przyłoży rękę do piersi między czwartem a piątem, lub piątem a szóstem

żebrem, a nawet wprost zapisywać zapomocą przyrządu odpowiedniego, zwanego **kardyografem**. Jest to niewielki bębenek, na którym napięto delikatną, sprężystą blaszkę, opatrzoną w środku wystającym guziczkiem kościanym. Guzik ten przykłada się do ciała w miejscu, gdzie poprzednio wyczuwaliśmy ręką bicie serca, cały zaś przyrząd przymocowywa się do ciała tasiemką, owiniętą dokoła tułowiu. Serce bijąc podnosi nieco mięśnie na czwartej przestrzeni międzyżebrowej, przez co guzik wciska się w bębenek i wypycha z niego powietrze do rury gutaperkowej; rurka ta łączy ów bębenek z drugim, mniejszym, t. zw. przyrządem piszącym. Powietrze, wyparte tam z kardyografu, wydyma znów błonę na zewnątrz, a ponieważ ta jest połączona z dźwignią, powoduje jej ruch. Ruch zaś ten można zapisywać w znany już sposób na okopconym papierze, naklejonym na walcu, który obraca się zapomocą mechanizmu zegarowego. Krzywe, w ten sposób zapisane, zwą się **kardyogramami**; na nich badamy tak ruchy serca zdrowego, jakoteż w stanie nieprawidłowym, chorobowym.

Częstość uderzeń serca liczy się najwygodniej na tętnie naczyń, w które wpływa krew z serca. Ponieważ naczynia te bowiem posiadają ściany bardzo sprężyste, dlatego rozszerzają się pod wpływem naporu krwi; możemy to bardzo wygodnie wyczuć palcami w miejscach, gdzie większe naczynia przebiegają tuż pod skórą: więc n. p. po obu stronach szyi, gdzie biegną naczynia, zaopatrujące krwią mózg, lub na przegubie ręki, co właśnie w codziennem życiu nazywamy **pulsem**. Częstość jego uderzeń wynosi u męszczyzny dorosłego i zdrowego przeciętnie 72 razy na minutę, u niemowląt znacznie więcej, bo do 100 i wyżej. Spada bardzo szybko do 21. roku życia, potem przez dłuższy czas utrzymuje się na stałej wysokości, w wieku zaś bardzo zgrzybiałym spadek pojawia się znowu. U kobiet jest puls o kilka uderzeń częstszym, aniżeli u męszczyzn. Te same stosunki, co u ludzi, istnieją u wszystkich źwierząt ssących. Lecz sama prawidłowa nawet częstość pulsu ulega bardzo licznym wahaniom: zwiększa się wskutek ciepła pracy mięśniowej, poziomego ułożenia ciała i podczas trawienia. Prócz tego działają w wysokim stopniu silne wrażenia.— Niektóre lekarstwa i trucizny również wpływają na zmianę skurczów serca.

Gdy usuniemy serce z ustroju, a więc pozbawimy je wszelkiej z niem łączności, bije dalej i to u źwierząt ciepłokrwistych kilka zaledwie sekund, u zimnokrwistych całymi dniami. Widzimy więc stąd, że serce musi mieć pewne własne urządzenia, które jego skurcz powodują. Przekonano się dalej, że serce żaby, nietylko **wycięte**, ale nawet **pocięte** na kawałki, bije dalej bardzo energicznie. Przedsionki i komory zupełnie przecięte wykonują swą pracę dalej, chociaż krwi niema w nich ani kropli. Gdy jednak odetniemy od serca sam jego koniec, pokaże się, że ten nie kurczy się już więcej, chociaż pozostała część serca zachowuje się tak, jakby nie zaszło nic zgoła. Jakaż jest tego przyczyna?

Oto przekonano się (uczynił to Remak), że serce posiada własne ośrodki (centra) nerwowe, które kierują jego ruchem; jak świadomymi ruchami rąk, nóg i w ogóle całego naszego ustroju kieruje jeden ośrodek nerwowy: mózg, tak serce posiada — jeżeli można użyć tego porównania — cały szereg takich własnych mózgów, które pracują samodzielnie i powodują skurcz mięśnia sercowego. Odcięty koniuszek serca nie posiada tych zwojów nerwowych, dlatego się nie kurczy, skoro go oddzielimy od całości.

Na wpływy zewnętrzne są ośrodki nerwowe serca (szczególnie żab) bardzo wrażliwe, przedewszystkiem na działanie prądu elektrycznego. Prócz tego drażnienie pewnych nerwów wywoływa zwolnienie lub przyśpieszenie czynności serca. Z trucizn, używanych w codziennem życiu, należy tutaj wymienić przedewszystkiem działanie nikotyny, jadu znajdującego się w tytoniu, dalej teobrominy i kofeiny, znajdujących w liściach herbaty i w ziarnkach kawy. — Wszystkie wywołują nieprawidłowe skurcze serca: jużto zwolnienie ich częstości, jużteż przyśpieszenie. Do najostrzejszych trucizn dla serca należy muskaryna, znajdująca się w pięknym czerwonym grzybie — muchomorze (*mucor mucedo*).

Nagłe, a dosyć silne zahamowanie ruchów serca, a nawet chwilowe zupełne ich wstrzymanie, wywoływa bardzo silne wstrząśnienia umysłowe (psychiczne), jak: gniew, przestrach, żal i t. p. Jako przykład niechaj posłuży następujące zdarzenie prawdziwe.

Na wydziale lekarskim wszechnicy turyńskiej słuchacze bardzo nie lubili pewnego asystenta; postanowili więc zażartować sobie z niego dotkliwie. Pewnego dnia kilku z nich uprosiło go, aby udał się z nimi w pewne miejsce, gdzie ogłoszą mu rzecz bardzo ważną. Asystent nie przeczuwając nic złego, udał się

z nimi do pomieszkania, w którem zastał kilku młodych ludzi z twarzami, zasłoniętemi maską. Ci poprosili go bardzo grzecznie, aby chwilę poczekał, a następnie poczęli mu odczytywać wyrok śmierci. Asystent spostrzegłszy, że padł ofiarą złośliwego żartu, z początku przyjmował wszystko z uśmiechem i nawet pozwolił sobie dobrowolnie skrępować ręce w tyle. Gdy jednakowoż zawiązano mu oczy, aby go „zaprowadzić do sali egzekucyjnej", i poczęto oprowadzać go po przyległych pokojach, począł się niepokoić, sądząc, że idzie jakimiś nieskończenie długimi korytarzami. Po pewnym czasie kazano mu stanąć, ukląc do egzekucyi i położyć głowę na krześle, które skazany wziął za pień do ścinania głowy. Tu jego niepokój począł wzrastać, lecz silnie skrępowane ręce trzymały go w postawie klęczącej. Zrobiła się cisza. Jedn z obecnych począł dawać rozkazy niby obecnemu katowi, wreszcie na dany znak jeden z obecnych uderzył zdrętwiałego już z trwogi i zdziwienia asystenta po szyi mokrym ręcznikiem. Wszyscy wybuchli śmiechem, zadowoleni z powodzenia żartu. Ale jakież było ich przerażenie, gdy asystent nietylko nie powstał, lecz owszem przechylił się i stoczył na ziemię! Wszelka pomoc ukazała się daremną, asystent nie żył. Zmarł nagle na porażenie serca, wskutek nadmiernego przestrachu. Chłód, który uczuł na szyi od mokrego ręcznika, wziął za dotknięcie miecza katowskiego.

Ostrożnie więc ze straszeniem dla żartu!

Przygodny:

Z ziem obcych.

I.

Stany Zjednoczone Australii. — Zgon królowej angielskiej. — Ks. A. Broglie. — Dwusetna rocznica królestwa pruskiego.— Zniesienie greki we Francyi,

Z punktualnością i wyrachowaniem, właściwemi szczepowi anglosaskiemu, ogłoszono w Sydneju w sam N. Rok 1901. powstanie „Stanów Zjednoczonych" australskich. Z góry już można przepowiedzieć, że będzie to wkrótce trzecie samoistne państwo, stworzone przez ten szczep, niezwykle ruchliwy. Formalne bowiem węzły, łączące nową federacyę z W. Brytanią, są tak luźne, że nawet bez tak gwałtownego przewrotu, jakiego potrzebowali Amerykanie, prysną prędzej czy później. I nie będzie to państwo wcale drugorzędnem, owszem odrazu stanie między pierwszemi. Poucza o tem rysunek poglądowy — w poglądowych zestawieniach Anglosasi, jak wiadomo, lubją się i celują, — który podały pisma angielskie, a za niemi także i inne europejskie. Niemal całej Europie wraz z Brytanią, bo jedynie z wyjątkiem części Rosyi, dorównywa stały ląd australski pod względem obszaru. W braku ryciny przytoczę liczby. Oto Europa bez Przedkaukazu i stepów azowskich zajmuje obszar $9^1/_2$ milionów *km*², Australia zaś, t. j. ląd stały wraz z wyspami Tasmanią i N. Zelandyą (razem zwane z angielska Australazyą) dochodzi do 8 mil. *km*². Gdyby obszarowi odpowiadała też ilość ludności, oderwanie się Australii od państwa angielskiego już dawno należałoby do dziejów. Ale tak nie jest. Na razie ludność jej obliczają na $4^1/_2$ miliona; należy jednak przypomnieć, że przed 20 laty było mniej o 2 miliony. Jeśli w tempie podobnem ludność będzie wzrastała, to można sobie obliczyć resztę. A przecie wobec zdarzenia noworocznego trzeba przypuścić, że wzrost ten pójdzie tempem przyśpieszonem. Jakże zaś skromne były początki!

Główna zasługa pierwszego poznania piątej części świata należy się Holendrom, którzy, osiedliwszy się na wyspach archipelagu indyjskiego, wysyłali stąd wyprawy w stronę Australii, nazwanej też dlatego zrazu Nową Holandyą. Zresztą nazwiska Holendrów: Carpentiera, Tasmana, Van Diemena, Hvatmana i in., utrwalone w nazwach miejscowości tamtejszych, świadczą chlubnie o pracy kolonizacyjnej tego narodu. Nową erę w kierunku zbadania nowego lądu zaczęły podróże słynnego żeglarza angielskiego, J. Cooka (czyt. Kuk'a), który w r. 1768. odkrył wschodnie wybrzeże. Jego sprawozdania skłoniły rząd angielski do rozpoczęcia osadnictwa tamże — i to na razie zapomocą zbrodniarzy, których wysłano po raz pierwszy w r. 1788. do zatoki, zwanej Botany-Bai. Zniesienie zsyłki (deportacyi) znaczy nowy krok naprzód. Osady i państewka powstawały, jak grzyby po deszczu, obecnie dzieło uwieńczyła proklamacya noworoczna i wyznaczenie „Zjednoczonym Stanom" pierwszego wielkorządcy w osobie hr. Hoptowna. Mimo to do zbadania wnętrza kraju brak jeszcze niemało, choć i wypraw przedsięwzięto sporo i ofiar padło wiele. W pracy tej współdziałały niemal wszystkie narody europejskie, a ku naszej chlubie można dodać, że nie brakło w rzędzie badaczy — Polaków. Owszem byliśmy i tam, a ziomkowi naszemu, geologowi Strzeleckiemu, zawdzięcza nauka zbadanie kraju Wiktoryi i Alp australskich, które przebył pieszo w r. 1840. W nich strzela ponad inne wyżyna, nazwana przezeń grupą Kościuszki, ze szczytem najwyższym Townsendem (Mount Townsend czyt. Mauntaunsend 2.240 *m*). Nie brak nas w Australii i dzisiaj, choć w roli nieco odmiennej — poszukiwaczy złota lub hodowców bydła i rolników — te trzy

zajęcia to główne źródła dochodu w Australii — albo . . białych murzynów. O pierwszych dowiadujemy się czasem czegoś z pism, nawet w r. z. *Kraj* podał ciekawy opis ich życia, pióra Polaka, drudzy giną bez korzyści dla siebie i narodu w niepomyślnych warunkach.

Samorząd Australii to zarazem ostatnie wybitne zdarzenie długich, bo 62-letnich rządów królowej Wiktoryi, która zmarła 22. b. m. Urodzona 24-go maja 1819. r.) jako jedynaczka księcia Kentu i Maryi Ludwiki, księżniczki saskoburskiej, odebrała wychowanie odpowiednie do przyszłego stanowiska, które przewidziano wcześnie wobec bezdzietności wuja jej, Wilhelma IV. Dnia 20. czerwca 1837. r objęła rządy, a w 3 lata potem poślubiła kuzyna swego, księcia sasko-kobursko-gotajskiego, Alberta. Owocem małżeństwa tego było 9 dzieci, z tego 5 córek (najstarsza Wiktorya, ur 21. listop. 1840. jest matką dzisiejszego cesarza niem., Wilhelma II.) i 4 synowie, (najstarszy Albert Edward, ur. 9. listop. 1841., do niedawna książę Walii, obecnie objął rządy W. Brytanii jako Edward VII.) Małżeństwo było bardzo szczęśliwem, jak dowodzi cześć, którą królowa okazywała zawsze cieniom małżonka, zmarłego w r. 1861.

Jako królowa nie mogła wpływać stanowczo na bieg polityki angielskiej, bo parlamentaryzm albioński zbyt się już rozwinął i posiada znaczenie pierwszorzędne. Jedynie w niektórych sprawach, które zajmowały ją osobiście, potrafiła postawić na swojem. Tak między innemi przeszkodziła wmieszaniu się W. Brytanii w zatarg niemiecko-duński w r. 1848., a w r. 1877. przybrała tytuł cesarzowej indyjskiej. Zresztą przerzuciła punkt ciężkości swego działania na pole dobroczynności publicznej, na którem przyświecała dobrym przykładem i zdziałała wiele. Po jubileuszu 60-letnim panowania nieboszczki przebąkiwano o zrzeczeniu się przez nią tronu. Niestety, nie przyszło do tego, a skutki były złowrogie. Pod osłoną imienia kobiety, znękanej wiekiem, złe duchy, Rhodes i Chamberlain, wywołały wojnę transwalską, która ostatecznie wykopała królowej-jubilatce grób i na schyłek jej rządów rzuciła cień niezatarty. Jak się stosunki ułożą pod Edwardem VII., nie wiadomo jeszcze, ale trudno wymagać czegoś stanowczego od 60 letniego starca. Toż jemu raczej spokoju potrzeba, niż trudów. Wątpić więc można, żeby chciał cofać bieg wypadków, które kierownicy polityki dzisiejszej posunęli już za daleko Zresztą od polityki odwykł nowy król, poświęciwszy się oddawna sprawom społecznym i ochocie (sportowi) we wszelkich kierunkach i odcieniach.

Niemal równocześnie z królową angielską po drugiej stronie Kanału zszedł z tego świata (19. b. m.) wprawdzie nie władca, ale przez pewien czas jeden z członków rządu, a w każdym razie głowa stronnictwa wybitnego i żywa kronika ostatniego półwiecza, ks. Albert Broglie. Rodzina to piemoncka (Broglia), z końcem XVII. w. przeszczepiona na grunt francuzki. Ojciec nieboszczyka, ks. Wiktor Karol, ożeniony z córką słynnej Staelowej, przewodniczył kilkakrotnie gabinetom ministerskim za Ludwika Filipa; sam zaś ks. Albert (ur. 13. czerwca 1821. r.) za ministerstwa Guizota wstąpił do służby dyplomatycznej, lecz po napoleońskim zamachu stanu usunął się od życia publicznego i przez cały czas drugiego cesarstwa należał do opozycyi, wiernej tradycyom orleańskim. Ale umysł niespokojny potrzebował ruchu. Oto i źródło studyów dziejowych księcia, które pozostały zawsze dyletanckiemi, ale, podawane w formie wykwintnej i z wybitną dążnością polityczną, wywalczyły mu poważne stanowisko w życiu towarzyskiem Paryża, a w Akademii krzesło „nieśmiertelnego“. Jako autor „Dziejów kościoła chrześć. i państwa rzymskiego w IV. w.“, współpracownik *Przeglądu dwu światów* (Revue des deux mondes) i współzałożyciel katolickiego pisma p. n. *Correpondant,* zdołał utrzymać się na powierzchni aż do upadku Napoleona III. Z tą też chwilą wrócił do działalności politycznej, choć tylko na krótko. Naturalnie zamierzał pracować na korzyść Orleanów, gdy wszedł do senatu przy wyborach z r. 1871. Obalił przedewszystkiem Thiersa w r. 1873., gdy tenże nie chciał iść na rękę zwolennikom przywrócenia monarchii z Burbonami na tronie, a następnie jako prezes gabinetu przeprowadził t. zw. uchwałę o septenacie, którą złożono rządy w ręce marszałka Mac-Mahona na lat 7 w nadziei, że tymczasem niezgodni pretendenci porozumieją się i będzie można dokonać zamachu stanu na korzyść monarchii. Obliczenia zawiodły, Mac-Mahon dokonał niepomyślnego półzamachu, rozwiązując Izbę, a wybory, choć przeprowadzone pod okiem ks. Brogliego, wydały wynik niespodziewany — większość przeciwmonarchiczną. Rola polityczna księcia skończyła się, a jedynym spadkiem po nim dzisiejsza konstytucya francuzka, która przetrwała ćwierć wieku rzeczypospolitej, mimo że oparto ją na zasadach monarchicznych. Jakkolwiekbądź zmarły działał zawsze jako szlachetny mąż stanu i patryota gorący; toteż musiał boleć nad wypadkami lat, a nawet dni ostatnich, świadczącymi o wielkim upadku wewnętrznym drogiej mu ojczyzny, jak głośna sprawa Dreyfusa lub najświeższa dóbr zakonnych.

A jeśli kiedy, to dziś Francyi potrzeba zgody wewnątrz, ażeby mogła utrzymać się na poziomie dotychczasowym. Toż o miedzę wróg jej odwieczny rośnie w pióra ciągle. Jakby na urągowisko święcił nawet 18. b. m. dwusetną rocznicę chwili, w której podstępne książę pruskie, Fryderyk III., korzystając z zamieszek w Polsce, a zazdroszcząc blasku „królowi-Słońcu“, dokonało przeobrażenia się z kurfirszta na króla. Niestety słabość nasza ówczesna nie pozwoliła na utrzymanie pyszałkowatego królika w ryzach, tak jak niedołęztwo Jagiełły zniweczyło świetny wynik bitwy grunwaldzkiej, a próżność Zygmunta Starego pozwoliła w. mistrzowi krzyżackiemu przedzierżgnąć się w księcia pruskiego. Srodze odpokutowaliśmy za to i pokutujemy pod butem krzyżackich potomków. A choć boski Dante nie uznaje większego bolu nad wspomnienie lepszej przeszłości, nie bądźmy strusiami! Otwórzmy *Acta Tomiciana* i odczytajmy sobie akt hołdowniczy ks. Alberta z r. 1525! Oto, co przyrzekał i ślubował w imieniu swojem i swoich następców:

„Ja Albert, margrabia brandenburski, książę pruskie, szczecińskie, pomorskie, słowińskie, kaszubskie, pan Rugii i burgrabia norymberski, ślubuję i przysięgam, że Najjaśniejszemu Księciu i Panu, Panu Zygmuntowi, królowi Polski, Wielkiemu Księciu Litwy, Rusi i wszystkich ziem pruskich panu i dziedzicowi, jako mojemu przyrodzonemu dziedzicznemu

Panu, i Jego Majestatu dziedzicom i następcom, królom i Królestwu Polskiemu będę wierny i posłuszny, że o Jego Majestatu i dziedziców i Królestwa Polskiego dobro będę się troszczył, szkody unikał, że wszystko to czynić będę, co jest obowiązkiem wiernego hołdownika. Tak niech mi Bóg dopomoże i ta święta Jego Ewangelia! (*Acta Tomiciana*, *VII*, *255*). A 26. stycznia 1797. r. Fryderyk Wilhelm II. podpisał t. zw. *Article séparé et secret*, w którym czytamy między innemi, iż „imię Królestwa Polskiego winno być teraz i na zawsze wykreślonem i takiem pozostać“ (p. zbiór dokumentów Martensa II. s. 303—4).

Przyszłoby zwątpić o sprawiedliwości, gdyby tyle fałszu i zdrady miało być podstawą trwałą stosunków ludzkich i pozostać bez kary! Na szczęście dzieje jednostek i społeczeństw uczą nas, że każdy czyn zły sam w sobie nosi zarodki zguby i kary. Karząca dłoń sprawiedliwości dosięga zbrodniarzy nieraz bardzo późno, nieraz na pozór wcale nie, ale sumienie nieczyste wtedy jest dla winnego najsroższym katem. A czemże są owe wybuchy hakaty, jeśli nie odruchem nieczystego sumienia społecznego, lękającego się o posiadanie owocu swych nieprawości? Bo to jest „klątwą złego czynu“, że pociąga za sobą coraz dalsze, gorsze — jak uczył Schiller. A gdybyż choć osiągał przez to swoje, — gdzie tam! Wszak sam Mefistofeles Goethego przyznaje, że zło, dążąc do zła, mimowoli tylko dobre stwarza. Mimo przestróg tych mistrzów słowa „naród filozofów“ brnie w kałużę coraz głębiej. Skutki muszą być fatalne — ale chyba nie dla nas, byleśmy pamiętali o swych obowiązkach i nie powracali do błędów dawnych, jak to uczynili ci, którzy śladem magnatów zeszłowiecznych bankietowali u konsula niemieckiego w tę rocznicę zwycięstwa zdrady!

Nas tylko to może i musi smucić, że tyle wysiłków myśli ludzkiej idzie na razie — na marne, że postęp i rozwój ludzkości opóźnia się skutkiem tego, iż narody z najwznioślejszeni słowy na ustach mordują się wzajem wszelkimi sposobami ze szkodą dla najwyższych celów człowieka, a bez rzeczywistej korzyści dla siebie. Jedyną pociechą, jedynym punktem świetlanym w tym pomroku nieboskim są przejawy myśli jednostek, które, wypielęgnowawszy w sercu swem owe ideały najwyższe, przesklepiają pomost tęczowy ponad potop krwi, głosząc światu religię pokoju. Toteż ubytek takiej jednostki — myśliciela, uczonego, artysty, — to strata niepowetowana w szeregach postępowych. A takich strat początek wieku nowego nie oszczędził nam wcale, owszem sięgnął po świeczniki.

Zmarł Böcklin, jeden z największych malarzy niemieckich, dogorywa, albo może już skonał, gdy to piszę, największy geniusz muzyki włoskiej, Józef Verdi. Nie mówię już o innych, mniej głośnych, choć zasłużonych wielce, nie powiem już nic nawet o owej parze, bo się boję, że cała kronika moja zamieni się w cmentarz, a ja sam — w płaczkę. Aby więc nie kończyć smutkiem rzeczy, zaczętej wesoło, napomykam, iż marzenie tylu głów młodych, zniesienie greki ziści się wkrótce... we Francyi; tak przynajmniej „piszą“ dzienniki. Tylko nie radzę z tego powodu lekceważyć sobie Homera, Sofoklesa, Demostenesa itd., bo „nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje“, zwłaszcza że Prusy coś tam niewyraźnie załatwiły się z greką, więc i u nas nie przyjdzie do reformy radykalniejszej. Masz tobie! Miałem kończyć wesoło — a znów wpadam w ton minorowy. Toć już zamilknę — zrzędza niepoprawny.

TO i OWO.

Nasze ryciny. Wspomnienie o Tow. przyjaciół nauk w Warszawie ozdabiają podobizny najwybitniejszych jego członków i widok gmachu Towarzystwa, dzięki uprzejmóści mecenasa A. Kraushara, który użyczył ich pismu naszemu z najnowszego dzieła swego, poświęconego właśnie dziejom tego Towarzystwa. O tem dziele pomówimy niebawem.

Rocznica listop. i styczniowa spowodowały ukazanie się 2. książeczek, które polecamy czytelnikom naszym. Bożydar Sawranko omówił na 71 stronach „Przyczyny powstania r. 1830.“ (we Lwowie 1900. nakł. autora), a towarzystwo „Uniwersytetu ludowego“ w Krakowie wydało szkic dziejów „Roku 1863.“ (cena 10 *h* tylko), który każdy przeczyta z pożytkiem i powinien rozpowszechniać w jak najszerszych kołach.

Najpoczytniejszemi książkami w Niemczech r. z. były według danych, które zebrało pismo „Das literarische Echo“: Omptedy „Eyseu“, Gaghofera „Das Schweigen im Walde“, Eschstruthowej „Nachtschatten“, Zoli „Płodność“, Tołstoja „Zmartwychwstanie“, Wolzogena „Das dritte Geschlecht“. Z tych tylko Zolę i Tołstoja posiadamy w przekładzie.

W obronie języka ojczystego.

„Poradnik językowy“ zaczął wydawać w Krakowie znany językoznawca i ludoznawca, prof. R. Zawiliński. Będzie tego rocznie 10 arkuszy, przedpłata z przesyłką 3 *kor.* Pisma takiego brakło nam dotychczas, a potrzeba go było oddawna. Szczęśliwsze narody mają podobnych pism mnóstwo, bo umieją kochać wszystko, co swojskie, nietylko gębą — jak my to czynimy zwykle — lecz także czynami (dowodzą tego i... workiem. A tamte narody przecie szczęśliwsze, bo tam z góry idzie poszanowanie i opieka dla języka ojczystego; tam dbają o to rządy i urzędy. U nas inaczej! We wszystkich trzech zaborach musimy się bronić od zalewu obcego, który coraz silniejsze wyciska piętno nawet na języku naszym. Dowodem tego błędy, z którymi rozpoczął walkę *Poradnik* już w numerze 1., wydanym właśnie. Kto winien temu, że ludzie, noszący nazwiska takie, jak Gołąb, Ko-

zioł, Brożek i t. p., odmieniają je w sposób niepolski: Gołąba, Kozioła, Brożeka? Biurokratyczny system austryacki i pruski, który w dokumentach ustala nazwiska w duchu języka niemieckiego, nie polskiego. Z tem trzeba zerwać. Należy mówić i pisać: Gołębia, Kozła, Brożka (prw. artykuł „Grudzienia czy Grudnia?“) Inny błąd rażący, a pochodzący z tego samego źródła, rozpowszechnił się dzięki niedbalstwu naszych dziennikarzy. Dziś wszędzie można czytać o „pani Neuman, pannie Marek“ i t. d., a przecie język polski nie znosi postaci nieodmiennych, nawet w imionach własnych. Toż należy mówić i pisać tylko: pani Neumanowa, panna Markówna; niestety, tuśmy ugrzęźli już tak w błędzie, że nawet *Poradnik* grzeszy, bo pisze (s. 5.): Hruzówna i Klimówna, (nazwisko ojca musiałoby być: Hruz, Klim) zamiast Hruzianka i Klimianka (nazwisko ojca jest: Hruza, Klima, matki zaś: Hruzina, Klimina). Na razie poprzestajemy na tych uwagach. Dalsze zeszyty nowego pisma nastręczą nam bezwątpienia pola do dalszych spostrzeżeń. Ale już teraz możemy tylko zachęcić do popierania jego i pilnego czytania. A gdzie go dostanie? We wszyskich księgarniach. Zresztą należy się domagać, aby *Poradnik językowy* znajdował się w każdym księgozbiorze szkolnym dla użytku nauczycieli i uczni. Pamiętajmy o tem!

W Biały (!!!) mamy szkołę polską—prawda, ale czyż tam niema Polaków, iż dotychczas nikt stamtąd nie zgromi i nie pouczy naszych pp. dziennikarzy, że samo poczucie godności własnej nakazuje uunikania tej dziwacznej postaci wyrazu? A zresztą, czyż to oni sami nie pokończyli szkół? nie wiedzą, że, choćbyś kręcił nie wiedzieć jak, to nie wykręcisz miejscownika: w Biały? Weźmy ino wzór, podług którego możnaby odmieniać tę nazwę! Jako przymiotnik powinnaby się odmieniać przymiotnikowo, bo czyż to może zmieniać postać rzeczy, że się pisze wyraz wielką literą na początku? Zatem Biała, Białej... w *Białej* tak samo, jak biała, białej, w białej, jak Kozioł, Kozła, w Koźle i t. d. Na upartego możnaby też zgodzić się na odmianę rzeczownikową: Biała, Biały, w B i a l e; ale na korzyść odmiany pierwszej przemawia równoległa inna, mianowicie nazw miejsc r. nij.: Krasne, Krasnego i t. d., oraz możliwość nieporozumienia, jeżeliśmy mówili: w Biale tak, jak w Krośnie, Jaśle, bo nie brak nazw, które różnią się między sobą tylko końcówką *a* i *o* w mianowniku. W każdym jednak razie w B i a ł y nie znajdziemy się na żadnej z dróg obu. A jakże doszliśmy do tego pokurcza? Oto przez błędne zastosowanie wzorów z końć. *a* po miękkiej spółgł. takich jak Oksza, Bircza i t. d. Te brzmią w miejscowniku: w Okszy, w Birczy, ale to *y* ich jest pozornem, bo zastępuje tylko słoworodowe *i*. Prawdopodobnie zaś to fałszywe zastosowanie wzoru znalazło poparcie w tej okoliczności, że *Okszy* z jednej strony, a *białej* z drugiej, są postaciami prawidłowemi zarówno dopełniacza, jak miejscownika. Kto więc począł odmieniać: Biała, Biały, tego wzór odmiany przymiotnikowej (białej) i Okszy kusił do utworzenia też postaci: w Biały. Kusił — pewnie, ale czyż człowiek myślący powinien ulegać pokusom? Walka ze złem konieczna; że zaś postać owa zła, jak to wykazaliśmy, więc ją pleńmy niemiłosiernie! Czy zwyciężymy? Niewątpliwie — tylko trochę dobrej woli. Przed niewielu latami „Szlązk“ panował u nas wszechwładnie, dziś piszący tak są rzadkością i wskazujemy ich palcem jako niedobitki ery germanizatorskiej. Tak stać się powinno i z innemi nazwami, zanim jeszcze nastąpi tak tchórzliwie odwlekane ukrajowienie szkoły polskiej — w Białej!

Fr. Krczek.

Pogadanka Redakcyi.

Wł. B. Lw. Gorące wyrazy sz. korespondenta dowodzą, że potrafiliśmy ugodzić w ton właściwy, o co nam chodziło zawsze. „Przyjaciel młodzieży“ już nie wychodzi, są tylko roczniki I. i II. jego do nabycia w Drukarni Ludowej. Wierszy nie potrzebujemy na razie. *L. M. w St.* Nie rozumiemy pytania o „część literacką“. Wszakże ona przeważa w piśmie i będzie przeważała. Za obietnicę popierania „Polonii“ i adres dzięki. Prosimy o dalsze. *Gwiazdce cieszyńskiej* serdeczne życzenia z powodu zmiany wydawcy i powrotu do świetnych tradycyi Stalmacha! *W. Schr. w. T.* Listy się rozminęły; czekamy „Kroniki przyrodniczej“ i „Szkiców z podróży“. *Prof. S. w Zł.* Dziękujemy za otwarty i szczery rozbiór nru 1. Odpowiemy listownie. *Łyżwiarzowi.* Nazwa niem. łyżwy „Schlittschuh“ jest przekręceniem wyr. „Schrittschuh“ pod wpływem „Schlitten“ (sanie). *Ciekawemu.* „Gazeta“ z włoskiego *gazzetta*, zdrobniałe z *gaza* t. zn. skarbiec; jak mówimy „skarbiec poezyi polskiej“ itd., nazwano dziennika „skarbczykiem“ wiadomości. Drugie *z* we włoskiem jest wynikiem słowo-rodu ludowego, który złośliwie wywodził ową nazwę od gadatliwej sroki (*gazza*).

Wszystkich, którzy otrzymają zeszyt niniejszy, upraszamy o nadsyłanie nam swych uwag co do treści zeszytu, oraz życzeń i żądań, które spełnionemi chcieliby widzieć w zeszytach następnych. Także nowiny i wiadomości wszelkie z miejscowości, w której czytelnicy nasi bawią, przyjmiemy zawsze z wdzięcznością i zużytkujemy odpowiednio w piśmie.

Od Administracyi.

„Polonia“, dwutygodnik illustrowany, wychodzi 10. i 25. każdego miesiąca w objętości zeszytu o 12 stronicach in 4°; 12 zeszytów stanowi tom. Dlatego też ustanowiono przedpłatę półroczną. Przepłata ta (wraz z przesyłką poza Lwowem) wynosi: w Austro-Węgrzech 2·50 K (na ¼ roku 1·50 K), w Niemczech 2 mk. 50 f. (na ¼ roku 1 mk. 50 f.), w innych krajach 3 frk.

L w o w s c y p r z e d p ł a c i c i e l e „Polonii“ raczą odbierać pismo to wprost w administracyi za okazaniem poświadczenia uiszczonej przedpłaty.

Z e s z y t 2. otrzymają tylko ci, którzy zgłoszą przedpłatę przed wyjściem jego (t. j. przed 25. stycznia).

Adres Redakcyi i Administracyi:
Drukarnia Ludowa we Lwowie,
plac Bernardyński l. 7.

Wydawca:
Jan Amborski.
Redaktor odpowiedzialny:
Dr. Wilhelm Bruchnalski.

Z Drukarni Ludowej
we Lwowie.